ROK DRUGI.

—

№ 41.

Warszawa

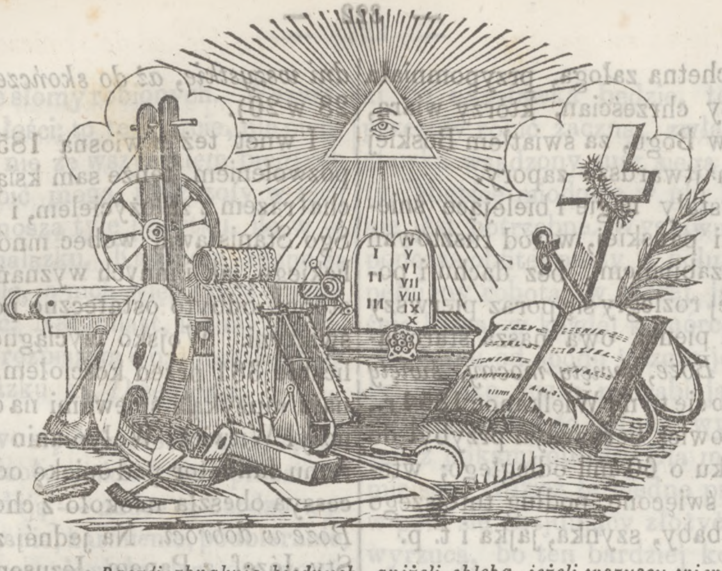
Dnia 29 Września

(11 października)

1857.

Niedziela

18 po ŚWIĄTKACH.




REDAKCYA CZYTELNI

przy ulicy Chmielnej Nr. 1527.

PRENUMERATA

rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

*„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“* (S. Wincenty à Paulo).

# CZYTELNIA NIEDZIELNA.

*Trzeba odrzucić wszystko, co do łaski przeszkadza, jeśli jéj udział chcesz otrzymać. Podobaj sobie w tem, abyś z samym sobą przebywał, wznoś gorące modły do nieba, abyś zachował myśl skruszoną i czyste sumienie.* (O naśl. Chr. K. 3 R. 53.)

## Kościołek w Dislagarze.

—

*Maluchne serce człowieka jest najmilszym Bogu kościołem*—tak odpowiedział kapłan Chodkiewiczowéj księżnie Ostrogskiéj, przy kładzeniu fundamentów świątyni pańskiéj w Ostrogu.

I powiedział wielką prawdę, którą czyn poniżéj opisany w przekonaniu waszem potwierdzi.

Julian Surzycki, syn obywatela Lubelskiego w r. 1846 przybył na Kaukaz jako żołnierz, i zamieszkał w Dizlagarze nieznacznéj forteczce kraju tamecznego. Wychowany bogobojnie w domu rodzicielskim, czuł on, jak wielu jego współtowarzyszów, brak w miejscu kościołka katolickiego, do którego najmniéj mil kilkanaście jeździć trzeba było. Lubo bez żadnych zasobów, wśród obcych i dzikich pokoleń, oddalony od domu o 300 mil przeszło, powziął on silną i niezwalczoną myśl wybudowania kościołka katolickiego w Dizlagarze, i Bóg pobłogosławił uczciwym chęciom biednego żołnierza.

Sam obeznany z odpowiedniemi ku temu wiadomościami, nakreślił plan i kosztorys téj świątyni, i przedstawił je dowódzcy swego pułku, który zamiar Juliana znalazł szlachetnym, i dozwolił wyznaczyć plac na przyszły budynek.

Niezrażony przeciwnościami młody ów człowiek, przemówił do współziomków swoich żołnierzy i oficerów zostających w jednym z nim pułku—wielu z nich zaraz dało, co który miał z pieniędzy, inni ofiarowali swój sprzężaj do budowli, a inni wyrabiali cegły, sprowadzali belki i słupy, i 1853 r. położono pierwsze fundamenta kościoła katolickiego.

Towarzysze Surzyckiego zajęci służbą, mając jedynie czas wolny do wypoczynku w ciągu dnia od godziny 11 do 1 w południe, zrzekali się koniecznego w tak gorącéj porze wytchnienia, a nawet w święta i niedzielę, zagrzani miłością dla Boga, pracowali szczerze około przyszłéj Jego świątyni.

Robota szła szybko, i stanęły wnet zręby, które trzeba było nakryć przed nadchodzącemi śniegami i deszczem; a gdzież jeszcze dzwonnica, okna, drzwi, sufit, podłoga i tyle koniecznych do całości rzeczy, a przybory kapłańskie, które trzeba było sprowadzać o sta mil na miejsce?

Dzielna ta i szlachetna załoga, przypomniała owe pierwsze czasy chrześcian, którzy wiarą, miłością i nadzieją w Bogu, za światłem Boskiéj Jego nauki łamali najtwardsze zapory.

Nadeszła zima, stały nagie i bielejące śniegiem zręby świątyni pańskiéj, wśród rusztowań z oknami deską pozabijanemi, bez dachu i podłogi, a wewnątrz jéj rozległy się poraz pierwszy pobożne chrześcian pienia, owa nasza starodawna pieśń: *Święty Boże, święty mocny, święty nieśmiertelny*. Działo się to na Wielkanoc 1854 r., kiedy ksiądz Antonowicz bernardyn przybył do Diszlagaru z Mozdoku o 60 mil odległego; wtedy to przyrządzono święcone, podług tutejszego zwyczaju: były tam baby, szynka, jajka i t. p.

—

Z nadejściem wiosny, prace około kościołka z równym rozpoczęto zapałem, zbudowano dzwonnicę i ołtarz wzniesiono. Surzycki z pomocą towarzyszów swoich wykończył kilka obrazów; wymalował Pana Jezusa błogosławiącego chleb i wino, Sgo Jana, Matkę Boską, Stą Cecylią, a do wielkiego ołtarza Chrystusa ukrzyżowanego.

Odezwał się wreszcie założyciel kościołka do serc tutejszych w kraju naszym; usłyszały go — spieszyły lublinianki z robotami szat kościelnych, młodzi malarze warszawscy przesłali kilka obrazów św. patronów naszych, a dawna uboga składka załogi Diszlagarskiéj z ostatniego grosza zbierana, powiększyła się funduszem znaczniejszym.

Nareszcie na Wielkanoc 1855 przybył tu ks. kapelan Proszkowski, i w dniu 19 marca dokonał tymczasowego poświęcenia kościołka, ku czci Śgo Józefa, patrona obojga rodziców młodego fundatora, i odtąd istnieje w Diszlagarze kościołek katolicki pod wezwaniem Śgo Józefa, który w święta i niedziele otwartym stoi dla tamecznych katolików.

—

Obowiązki służby odwołały Surzyckiego z Diszlagaru o mil kilkadziesiąt — z żalem opuszczał ten piękny owoc swéj pracy. Przy wyjeździe ustanowił bractwo Śgo Józefa, na które włożył obowiązek czuwania nad losem i całością świątyni, zostawiając im 100 rs. kapitaliku i 100 polskich książek, darowanych kościołkowi raz na zawsze.

Świątynia owa była, jak będzie bezpieczną, bo wedle słów Ewangielisty: *Bóg z nią pozostałpo dni wszystkie, aż do skończenia świata.* (Mat. R. 28 w 20).

I wnet też z wiosną 1856 r. za urzędowem pozwoleniem, tenże sam ksiądz Proszkowski zjechał razem z założycielem, i dnia 8 maja, w dzień Śgo Stanisława, wobec mnóstwa gości tak katolickiego, jak i innych wyznań i żołnierzy różnych stopni, odbyto ostateczne poświęcenie rzeczonéj świątyni. Wojsko wyciągnęło się szeregiem, w liczbie 381 przed kościołem, msza była śpiewana z muzyką i śpiewami na chórze; śpiewów wyuczył Witwicki Wołynianin podporucznik, któremu fundator pod opiekę oddał kościołek; processya obeszła naokoło z chorągwiami i pieśnią: *Boże w dobroci.* Na jednéj z tych chorągwi był Śty Józef z Panem Jezusem, malowany przez fundatora, na drugiéj Chrystus w Ogrójcu, dzieło panienek Warszawskich, wyrobione włóczkami. Bractwo szło ze świecami, kościołek był ubrany polnemi kwiatkami. Obraz téj świątyni z pobielanemi ścianami i trzcinowym dachem, wobec ludu prostych żołnierzy, z których każdego rodzina o sta mil była daleką, przypomniał im rzewnie słodycz dawno nieznaną ojczystego ogniska, i kiedy po ucichłych pieniach, ksiądz Proszkowski przemówił do zgromadzonych, wszyscy uścisnęli się w jednem natchnieniu miłości, i w najwyższem rozrzewnieniu wyleciało ze wszystkich piersi jedno dziękczynne westchnienie ku Władcy wszystkich światów i ludów. Zacny dowódzca pułku Kessler, łzą współczucia oddał hołd téj uroczystéj chwili. Łza ta jest chlubą dla niego i tych, dla których ją przelał.

---

## Pszczelnictwo.

(Ciąg dalszy, patrz nr. C. 37).

### 2. *Pomieszkania pszczół.*

—

Poznaliśmy nieco pszczoły, pomówmy też i o ich pomieszkaniach. Pierwiastkowo pewnie pszczoły mieszkały w dziurawych drzewach, w rozpadlinach skał i t. p. Gdy ludzie poznali pożyteczność owadu tego, wyrabiali dla niego po borach barcie w sosnach, w których do dziś dnia jeszcze na Litwie pszczoły hodują. Z czasem, dla większéj wygody, wyrabiano sobie ule w pieńkach i ustawiano w ogrodach, w bliskości zabudowań. W okolicach, w drzewo obfitujących, pieńkowe ule bardzo są w używaniu; gdzie zaś trudno o tak grube drzewo, tam pszczoły

hodują w *kószkach* ze słomy robionych. Wszystko dąży do doskonałości; to też barcie, ule pieńkowe i kószki już nie ze wszystkiem biegłych pszczelarzy zaspokoić mogą, i pszczoły w nich hodowane nie przynoszą tyle pożytku, ile w ulach nowszego wynalazku. Każdemu znane są kószki i pieńkowe ule, o nich więc tylko pomówim, jak je polepszyć. Natomiast, ile miejsce pozwoli, obszerniéj się rozpiszem o najpraktyczniejszych ulach wynalazku ks. *Dzierżona.*

Są niedrogie, łatwo się dają zrobić, zimą są ciepłe, i dlatego się pszczoły w nich dobrze przezimują i mało miodu zjadają — nadto są bardzo wygodne, gdyż podmiatanie, karmienie, podbieranie, dzielenie mocnych, łączenie słabych rojów, wogóle wszelką robotę około pszczół z łatwością bez pomocnika wykonywać można. Jeżeli chcemy, muszą nam pszczoły więcéj na miód, aniżeli na zaród pracować, i odwrotnie. Można z nich każdego czasu i miód i plastry z zarodem dla słabych rojów wyjmować, nie zgniotłszy ani jednéj pszczoły. W miejsce staréj roboty można dobrą i czystą wstawić; o stanie roju łatwo się przekonać, i gdzie i czego kiedy trzeba, dopomódz. W innych ulach tego wszystkiego robić nie można. Nie wypływa ztąd, aby wszystkie staroświeckie ule zniszczyć; radzimy tylko, tym podobnych nowych nie sprawiać, stare zaś ile możności polepszyć. Na ten cel urządza się w ulach pieńkowych, którym się głowy wyrznęły, u góry miodowe miejsce, zajmujące ⅓ lub ¼ część wysokości całego ula w świetle, odgradzając tę część deseczkami w dziurki opatrzonemi, i do stosownych drewienek do krzyża przymocowanemi. Miejsce to zatyka się na zimę słomą, sianem lub t. p. i zostawia tak długo, dopóki pszczoły pod przegrodą nie mają dosyć żywności na zimę; o czém wprawny pszczelarz z łatwością przekonać się może, widząc znaczne kawałki plastrów z zasklepionym miodem. Wtenczas ułatwia im się przystęp do próżnego miejsca, a pszczoły w dobrym czasie nadzwyczaj prędko miodem je zapełnią, częstokroć nawet dwa razy do roku.

Po wyjęciu miodu, na zimę znowu miejsce to słomą lub sianem się zatyka, a pszczoły będą miały ciepłe siedzenie. Do kószki można inne małe kószki nadstawić, do tego jednak kószki nie powinny być bardzo kończyste, gdyż nadstawek źleby przystawał. Im większy przechód z kószki do nadstawka będzie, tém prędzéj w nim pszczoły robić zaczną, zwłaszcza, jeśli do nadstawka wsadzony susz sięga do spodu, do roboty. Miejsce miodowe w ulu lub kószce koniecznie jest potrzebne. Wystawmy sobie mocny rój podczas obfitéj paszy w polu, mający cały ul zapełniony robotą, w któréj, jak to wtenczas właśnie bywa, w każdéj komórce zaród się znajduje. Jeżeli od spodu jeszcze jest miejsce, pszczoły prędko susze nadrabiają, ale matka nawet choćby tylko do połowy wykończone komórki, zaraz jajkami obłoży. Dla miodu nigdzie nie ma miejsca. Gdzież te biedne pszczoły miód obficie w polu się znajdujący złożyć mają? Zarodu nie wyrzucą, bo ten bardziéj kochają aniżeli miód. Nasycą się więc, wyjdą na ul i wylegają bezczynnie, czekając, dopóki zaród z komórek się nie wylęże. Wieleż to razy się zdarza, że w polu już nie ma miodu, choć w ulu pełno próżnych komórek. Gdy zaś mają miejsce miodowe, gdzie matka dojść nie może, robią sobie spiesznie susz, jeśli im go pasiecznik nie ponastawiał, i ponalewają miodu. Aż miło patrzeć, jak skrzętnie pszczoły w takim ulu pracują. Niechże się nikt nie leni, ale co prędzéj nietylko swoich wszystkich próżnych, ale i pszczołami obsadzonych ulach, po wyrznięciu im *głowy* w czasie stosownym, urządzi miodowe miejsce. Niech kószki u góry mają 4 cale szeroki lub większy jeszcze otwór, deseczkami zakryty, i niech tak urządzone będą aby nadstawek dobrze przystawał.

Ule wynalazku ks. Dzierżona, *dzierżoniaki*, lubo różne co do kształtu, mają jednakowe wewnętrzne urządzenie; wszystkie mają u góry miodowe miejsce, we wszystkich wisi robota na deszczułkach ¼ cala grubych, 1 cal szerokich, i jak ul szeroki długich. Deszczułki wisieć mogą albo na listewkach, albo też w rowkach, w bokach ula powrzynanych; rowki są wiele wygodniejsze, aniżeli listewki. Najstosowniejsza szerokość ula jest 8½ cali; deszczułki do takich uli 9 cali długie być powinny, albowiem w każdą ścianę końce deszczułki o ¼ cala w rowki wchodzą. Przedewszystkiem starać się trzeba, aby we wszystkie ule deszczułki jednéj i téj saméj długości przyjętéj się stosowały. Wszystkie ule jednakowo szerokie być mają. Wysokość i głębokość uli niekoniecznie potrzebuje być jednakowa. *Leżaki*, ule leżące, zwykle są 20 do 26 cali głębokie, a 18 wysokie; stojące zaś ule mogą być 15 do 20 głębokie, a 31 do 34 cali wysokie. W stojących lepiéj się

pszczoły przezimują i całe obchodzenie się z pszczołami jest łatwiejsze.

Materyałem najcieplejszym i najtańszym jest słoma; w koszkach jednak przeciw myszom zamało znajdują schronienia. Również i robaki, *woskownice* zwane, przegryzą się łatwo przez słomę i wiele szkody w węzie poczynią—często cały rój zmarnują. Wynaleziono nareszcie ule, łączące ciepło słomy z trwałością i czystością drzewa. A że mają postać wewnętrznie przez gruby mur przechodzącéj sklepionéj bramy, przeto *bramiakami* je nazwano. Dla swéj zdatności, taniości i łatwości zrobienia, bardzo się polecają.

## Rybak i Węglarz.

(Zdarzenie prawdziwe).

Wieś Olszewnica, granicząca z dobrami Jabłonny w pobliżu Warszawy, godny uwagi przedstawia obraz. Wieś to duża, długo się rozciąga, a w miejsce chat wieśniaczych masz kilkanaście porządnych dworków, jakby szlacheckich, z gankami, z podwórzami i ogródkami. Ale między temi tak schludnemi dworkami, mieści się kilka nędznych chat chłopskich, odartych, zapadłych w ziemię, a niektóre wczęści nawet zniszczone; nie mają one ani podwórza, ani ogródka. Kałuże, błota przed progami, płoty spróchniałe, pokazują najwyższą nędzę i opuszczenie.

Zapytasz, zkąd taka różnica między dworkami a chatami? Zadziwisz się więcéj, gdy się dowiesz, że wszyscy mieszkańcy téj wsi od lat blisko 40tu są czynszownikami. Wnętrze dworków i chat jeszcze większą tu stanowiło sprzeczność. W dworkach staranna czystość, ściany wybielone, krzesła i łoża jesionowe, obrazy święte w porządnych ramach; w szafie odkrytéj rzędem stały naczynia kuchenne, czyste, to garnki, to misy, łyżki cynowe, a nawet i talerzy cynowych nie braknie, na wierzchu dzban takiż do piwa—w chatach obraz najwyższéj nędzy.

Oprócz prostych i niechlujnych sprzętów, wnętrze takiéj chaty przedstawiało obraz opuszczenia i nędzy. Izba dymna, tok z gliny miejsce podłogi zastępujący, pełen dołów, śmieci i pomyj. Przez dach oberwany ze snopków, deszcz i śnieg pułapem ściekał po ścianach. Zaduch duszący napełniał izbę ciemną, zimną i wilgotną. Zimową porą wiatr mroźny i śnieżyca przedzierały się wewnątrz to przez szczeliny już wygniłych ścian, to wybitemi oknami, w których szyby zastępywały brudne wiechcie, lub przewiąsła staréj a nadgniłéj słomy.

Cóż za powód tak ogromnéj różnicy pomiędzy mieszkańcami jednéj wsi, którzy zarówno używali swobody, bo byli czynszownikami, i jednaki równy obszar pól każdy znich posiadał? Odpowiedź łatwa: praca i trzeźwość dała jednym dostatek i wzniosła te dworki, wódka i próżniactwo, dawne porządne chaty przywiodły do upadku i ruiny.

Na końcu téj wioski, wznosiły się dwa dworki ozdobniejsze nad inne, a nawet większe. W pierwszym zamieszkiwał Wojciech *Brzoza*, czynszownik i węglarz, w drugim Welenty *Socha*, rybak z dziada pradziada.

Brzoza w ciągu lat kilku spanoszał; zakupywać zaczął w okolicy lasy, które wypalał na węgiel, a kładł naraz gotówki po 50 i po 80 tysięcy na stół. Walenty nie porzucił rzemiosła ojca; dzierżawił na Narwi i jeziorach rybołóstwo, za które płacił po 5000 złp. rocznie. Brzoza obracając przeszło stu-tysiącznym kapitałem, codzień wbijał się w dumę i próżność. W pobliskiem miasteczku zakupił sobie austeryą murowaną, wypuścił ją w dzierżawę, ale często przyjeżdżał bryczką w parę dzielnych koni zaprzężoną, i grywał w bilard, w zakład o butelkę *sampana*, bo polubił to wino nadzwyczaj. Że zaś w księgach ludności miejscowéj był zapisany jako Wojciech *Brzezowski*, przyczepił się do jednéj szlacheckiéj rodziny, i po wielkich staraniach wylegitymował się jako szlachcic. Wtedy pycha jego nie miała już granic. Najprzód sprawił sobie złoty pierścień duży z herbem, którego nie zdejmował nigdy z palca, córki oddał na pensyą do Warszawy, synów do szkół, dla żony sprawił koczyk, która także umiała się nadymać.

Życie wystawne, butelki *sampana*, koszt wychowania kilkorga dzieci w Warszawie, niemałych potrzebowały pieniędzy, a Brzoza żeby się pokazać, co to szlachcic może, nie żałował grosiwa. Polubił nieznane dawniéj wygódki, i szampana musiał wypić codzień przynajmniéj butelkę. Już nie przesiadywał w lesie, jak dawniéj po całych dniach i nocach przy wypalaniu węgli; przyjął sobie dwóch pisarzy, a sam długo się wylegiwał w łożu, i po sutym obiedzie musiał się przedrzymać. Do Warszawy jak zjechał z furami węgla, gdy go sprzedał, przesiadywał nie jeden dzień w handlu winnym, a ludzie bez dozo-

ru robili co chcieli. Brak pilności i starania pociągnął niemało straty; w zakupionym lesie więcéj skradziono drzewa, niż wytlono na węgiel, w furmankach padło kilkanaście koni przez niedozór, ubyło wraz przychodu, a wydatek się nie zmniejszał. Córki z pensyi wystrojone powarszawsku i synowie w mundurkach zaczęli się wstydzić i ojca i matki, co cięli *mazura* i w obejściu dawną zachowali prostotę. Brzoza już złe przeczuwał, skrobał się po głowie i w smutku pocieszał szampanem.

Równocześnie Walentemu Sosze dorastał syn najstarszy, a choć mu żona głowę suszyła, żeby go na naukę oddał do Warszawy, i za przykład stawiała Brzozę, on pokręcił tylko głową, i chłopaka zaczął posyłać do szkółki wiejskiéj. Przykro było młodemu Kubusiowi, że się nieedukuje tak, jak synowie sąsiada, co wystrojeni w nowe mundurki, jak na święta do rodziców przyjadą, chodzą, by paniczyki i papirosy palą; ale nie śmiał nic mówić ojcu, bo wiedział, że stary Walenty nie żartuje. Raz na Zielone Świątki przebrał się w mundurek jednego Brzozy i zapalił papiros, co mu go darował. Socha złapał Kubusia, zdjął mu mundurek, zdeptał papiros, i tak mu zrypał skórę, że chłopak trzy dni siedzieć bez skrzywienia nie mógł; a kiedy go bił, to mu ciągle mówił:

—Naści tobie sygaro! masz tobie paniczykowaty surdut! Kiedy zaś machanie dyscypliną skończył, rzekł mu wtedy:

— Nie naśladuj głupcze synów Brzozy, co dziś Brzezowskimi się przezwali; zmarnieje to niedługo, bo *nie dorówna sowa sokołowi, chociaż lata jak sokół.* Im chce się być szlachtą, a czemuż nie pracują jak na nią przystoi? Stary, jak pierścień złoty z herbem, na brudny palec od węgli włoży, to dmie i myśli, że wielki pan— jejmość w koczu jeździ, dziewki jak panny postrojone, i chłopcy, by paniczyki zadzierają dumnie nosa. Zobaczymy, jak długo będzie tego państwa. Nie rzuciłem ja sukmany, nie damci porzucić i tobie. Ucz się czytać, pisać i rachować, bo to ci zda się na późniéj; ale pracuj, jak twój rodzic pracuje, służ Bogu uczciwie i ludziom, a Bóg da błogosławieństwo swoje i dostatek.

Kubuś z pokorą wysłuchał, trzymając się kołka od płota, całéj nauki, a potem poszedł do sadu, i położywszy się na brzuch, gorzko płakał. Że to były święta, matka go długo szukała, a znalazłszy leżącego pod wiśnią, przyniosła mu w misce gorących klusek z mlekiem, które zjadł z kromką razowego chleba, płacząc przy każdej łyżce.

Posłuszny ojcu, przez zimę jednę i drugą wyuczył się czytać i pisać, a że przerósł ojca, był zdrów i krzepki, stary rybak zaczął go wprawiać do swego rzemiosła. Trzeba było widzieć czerstwego i zwinnego Kubusia, jak dzielnie robił wiosłem, jak zręcznie sieci i niewody zarzucał. Socha patrzył z radością na syna, a co rok zbierał więcéj grosiwa. Trzy córki wydał za mąż, jednę za czynszownika w Olszewnicy, dwie za zamożnych i pracowitych gospodarzy w okolicy. Na wesele nie prosił pana Brzezowskiego, jak nazywał sąsiada, którego znał dawniéj i wołał nań: Wojciechu Brzozo!

A węglarzowi jeżeli wzrastał prędko majątek pracą, zabiegliwością i pilnem staraniem, jeszcze prędzéj teraz malał coraz więcéj. Córki odebrał z pensyi, ale panny nie chciały się wziąć do ciężkiéj pracy i pomagać matce. Dawniéj, gdy pliły w ogrodzie, odgłos wesołej ich piosnki rozlegał się wokoło, z radością biegły krowy doić i zmleczywem wśród śmieszków wracały do dworku. Teraz wystrojone czy w niedzielę, czy w dzień powszedni, siadywały na ganku z robótkami w ręku albo książkami, czekając, czyli jaki pan dziedzic wioski nie przybędzie w zaloty. Brzoza odebrał i synów ze szkół; ci miasto pomocy ojcu, rozbiegli się po świecie. Sprzedał w miasteczku austeryą, ale strat poniesionych w zakupionych lasach nie pokrył. Przestał pić *sampana* i do wódki wrócił, a bieda jak się przyczepiła, coraz bardziéj dokuczała. Sprzedał koczyk na długi i konie, córki poszły piechotą do Warszawy, i pomieściły się po magazynach mód. Brzoza w końcu musiał sprzedać i dworek, który z pracy swéj wybudował i grunt ojcowiznę, a zabrawszy trochę sprzętów na wóz parokonny, z płaczem zabierał się w drogę.

Rybak Walenty z żoną i synem stali właśnie na ganku, gdy Brzoza zrobiwszy biczyskiem krzyż przed końmi, spostrzegł sąsiada. Kiwnął na swoję kobietę, co stała zapłakana przy wozie, i oboje szli na pożegnanie do starych sąsiadów. Stojący na ganku jak to zobaczyli, i w takiéj biedzie Brzozów starych, zapłakali szczerze, ściskając ich po przyjacielsku.

— A cóż będzieta robić teraz? zapytał pierwszy Socha.

— No cóż, z całego majątku, została mi ot

ta para szkap i wóz kuty; osiądę na Pradze i będę furmanką zarabiał.

— A macież też na pokomorne pieniądze?

Brzoza pokazał mu na to silne jeszcze ręce, i z kamizeli wyjął złoty pierścień herbowy.

— Ręce jeszcze dobre i zdrowe, mogą pracować, rzekł wtedy Walenty, ale za pierścionek niewiele weźmiecie. Ot, wiecie co sąsiedzie, dam wam trzysta złotych, jak będziecie mieli, dorobicie się, to mi oddacie.

Brzoza serdecznie dziękował za tak wielką w swojem utrapieniu pomoc, i z tym zasobem ruszył w drogę.

Rybak dworek jego odkupił, i w nim syna osadził, ożeniwszy go z córką swego kmotra z tejże wioski.

Brzoza osiadłszy na Pradze, wziął się szczerze do roboty, a nie brakło jéj chcącemu pracować. Z początku najmował się do fabryk, do przewózki cegły i gruzu w Warszawie. W niespełna roku, dokupił sobie cztery konie, i we trzy furmanki coraz więcéj zarabiał. Żona nie powstydziła się jak dawniéj krowy doić i jeść gotować. I Pan Bóg pobłogosławił, powoli skromny dostatek się mnożył. We trzy lata kupił sobie Brzoza mały domek na Pradze i wziął się na nowo do wypalania węgli. Ale chociaż wiedzie mu się praca, i grosiwa przybywa, bo nawet dług Walentemu zapłacił, nieraz w święto, gdy się z żoną wybiera do kościoła, zapłacze zcicha w kącie, bo z sześciorga dzieci, ani jednego niema przy rodzicach. Posłuchy ich tylko dochodziły, że syn jeden zginął na wojnie, dwaj gdzieś w Galicyi przepadli, a córki w Warszawie pięknie wystrojone, bawią się ochoczo i wesoło zawsze.

Tem też Pan Bóg najboleśniéj dotknął serca Brzozów. Siwizna już im pobieliła skronie, zdrowie trochę podupadło, i siły już nie te, co dawniéj. Bywało, stary Wojciech czy z furmankami to na cały dzień, to i na dni kilka opuści domostwo, biedna żona sama jak kołek; jak oporządzi małe gospodarstwo, to szlocha a zawodzi, a przyzywa dziatwę, co się rozpierzchła daleko po świecie. Jak się napłacze, to klęknie przed obrazem matki Boskiéj Częstochowskiéj, co go wyniosła z dworku Olszewnicy, przed którym modliła się jeszcze będąc dziewczyną, modli się szczerze, i lżéj jakoś zrobi się na sercu, i spokojniéj oczekuje powrotu męża i czeladzi.

Oprócz większego dostatku i mienia we dworku Walentego Rybaka, panuje ciągła radość i pociecha. Na imieniny rodzica wszystkie dzieci zebrały się razem z wnukami; Kubuś, co ożenił się w zapusty był najpierwszy ze swą kobietą. Kiedy cała rodzina zasiadła do stołu i zaczęła pożywać dar Boży, zadudniał wóz kuty na podwórzu, na nim zajechał Brzoza. Przywiązawszy lejce do płota, sam wszedł do izby, a pozdrowiwszy serdecznie gospodarstwo i rodzinę, powinszował solenizantowi, a w końcu rozpłakał się rzewnie. Dobył dwie butelki miodu, postawił na stole i wyrzekł:

—To dla was miły sąsiedzie; na stare lata, lekarstwoć to, bo dalibóg miód starszy jak my obaj.

Po obiedzie obaj starcy zasiedli w alkierzu, a kosztując przywiezionego miodku, zcicha gwarzyli:

— Jakże się wam wiedzie teraz miły sąsiedzie? pytał Walenty.

— Ot tak niczego.—Jest z czego żyć i wygoda doma. Ale strasznie smutno w chałupie.

— A to czemu, mój panie Wojciechu?

Węglarz pokiwał głową smutnie, łzy gęsto zrosiły mu pomarszczone oblicze, długo ciężko wzdychał, aż w końcu odpowiedział:

— Pcha człowiek biedę, jak może, chleba złaski Bożéj nie braknie, ale ciężko na sercu. Gdy u was dorodne córki i syn chłop tęgi pilnuje waszego dobra, a wnuczęta wesoło turkoczą wokoło, u nas żadne z dzieci nie zostało. Rozleciało się to chet na cztery wiatry, ani słychu ani dychu, i tak doma, jakbyśmy byli bezdzietni. To też moja kobieta nic nie gada, ale w kąciku płacze, szlocha i usycha; ja wzdyć tego nie baczę, ale w drugim kątku zapłaczę, żeby ono kobiecisko nie widziało. Jemyć chleba kawał, co go krwawo zapracujemy, ale Bóg widzi, jak gorzki i słony od łez naszych.

— Bóg pocieszy, Bóg pocieszy, mówił Rybak, ale i jemu smutno na sercu się zrobiło.

Kiedy nad wieczorem węglarz odjechał do boru, a Walenty swojéj kobiecie opowiedział niedzielę Brzozów, oboje klęcząc, długo się modlili, aby ich Bóg obronił od takiego w domu sieroctwa na stare ich lata.

---

## Siostra zakonna.

Śty Wincenty a Paulo, ten anioł miłosierdzia, mawiał:

*Pragnę ofiarą własnego mego dobra, nędzy i ranom braci moich w Chrystusie ulżyć.*

Słowa te, pełne miłości ewangielicznéj nie zostały bez owocu; znalazły się serca szlachetne, w których się one przyjęły, a ztąd powstało wiele dobroczynnych zakładów, mających na celu zmniejszenie nędzy i chorób między ludźmi. Z tego natchnienia powstały i Siostry miłosierdzia, które w swem poświęceniu pracują na wzór skrzętnych pszczółek: miód i wosk zostawiają one ludziom, a sobie tyle tylko zachowują owocu swéj pracy, ile go do utrzymania życia potrzeba.

Czynne i liczne usługi, jakie one w miłości chrześciańskiéj świadczą dla chorych i cierpiących, jednają im po wszystkie narody wdzięczne przyjęcie i szczery szacunek.

Do grona tych zacnych i poświęcających się dziewic, należą i Siostry miłosierdzia pod wezwaniem Śgo Karola Boromeusza, których dom główny od 17 wieku znajduje się we francuzkiem mieście Nancy (Nansy), a z niego rozchodzą się po całéj Europie do obsługiwania szpitalów i różnych dobroczynnych zakładów.

Gdańsk, stare miasto dawnych Prus królewskich, leżące przy ujściu Wisły do morza Baltyckiego, o 49 mil od Warszawy, a o 80 od Krakowa odległe, posiada od lat 6 szpital obsługiwany przez też Siostry miłosierdzia Śgo Karola Boromeusza. W szpitalu rzeczonym chorzy bez różnicy wyznania i narodowości otrzymują przytułek i opiekę. Dlatego też zacne te dziewice, choć wśród miasta i ludności jego po większéj części wyznania obcego, posiadają ogólną miłość i poważanie.

Niedawno bolesny wypadek zdarzył pobożnemu zgromadzeniu sposobność przeświadczenia się o tem.

Jakaś chora uboga, która nie mogła wejść do szpitala, zażądała Siostry miłosierdzia. Przełożona Sióstr, gotowa w każdéj chwili nieść popomoc potrzebującym, udała się sama, udzieliła nieszczęśliwéj pociechy i w łożu boleści opatrzoną, oraz podniesioną na duchu zostawiła, wracając nazad pełna wewnętrznéj pociechy, jaką w szlachetnem sercu daje uczucie wypełnienia miłosiernego uczynku. Ale w nocy złapała ją gorączka; nieszczęsna przejęła słabość od swéj pacyentki. Przez 6 tygodni z pogodą na czole i cierpliwością rzadką, przenosiła ona wszystkie dolegliwości tak ciężkiéj choroby. Pracująca całe życie na niebo i jego roskosze, nie pragnęła życia doczesnego, ale oczekiwała téj chwili, która ją z Bogiem i wiecznością połączyć miała. Siostry z płaczem i boleścią otaczające jéj łoże pocieszała ona, wystawiając im w całem uniesieniu roskosz i szczęście, które Bóg dla sprawiedliwych gotuje.

Wiadomość o chorobie cichéj zakonnicy rozbiegła się wokoło i wzbudziła najżywsze ogólne współczucie, tak dalece, iż po wsiach protestanckich, przyległych Gdańskowi parafianie żądali od swych pasterzy, aby przez dni kilka w tygodniu świątynie otworem stały, dla modlitwy o zdrowie téj kochanéj istoty. Ale modły ich wysłuchanemi nie zostały; spodobało się Bogu powołać do siebie ową czystą i miłosierną duszę.

Uczucie nieskazitelności, którą się zdobiła nieboszka, wywołało żywe wrażenie na ludności. Ciało jéj wystawione przez dni 3 sprowadzało liczne wizyty do siebie; sta strażników zaledwie zdolnymi byli utrzymać w szpitalu porządek. Przybywano tu, aby się nasycić z boleścią widokiem pogodnego oblicza téj sługi Bożéj, okrytéj skromną barwą swéj cichéj reguły. Dzwony żałobne brzmiały codziennie rano, w południe i wieczór.

Władza miejscowa protestancka, aby uczcić pamięć cnoty i ogólnéj miłości, mieć chciała, iżby ostatnia przysługa odbyła się ze wszelką okazałością, nawet z użyciem pochodni; lecz Siostry osierocone, znając za życia życzenia nieboszki, jéj cichą skromność podziękowały za to — chciały ją one oddać matce-ziemi w téj zakonnéj prostocie i ciszy, któremi życie umarłéj tchnęło. Mimo to, dawno przecież Gdańsk nie przedstawiał tyle uroczystéj okazałości. Dnia 3 przeprowadzono zwłoki do kościoła.

Miasto rzeczone, lubo z 22 dawnych świątyń pańskich, posiada dziś kilka kościołów katolickich, oddawna nie widziało krzyża niesionego publicznie na ulicy przez kapłanów w habitach zakonnych, a teraz krzyż Chrystusa poprzedzał orszak z 13 pasterzy złożony. Za niemi postępował karawan 1éj klassy, daléj Siostry miłosierdzia, członkowie zarządu szpitala, a daléj cechy rzemieślników poprzedzone 19 ich chorągwiami; muzykanci zaś dodawali uroczystości swemi pobożnemi żałobnemi śpiewy. Z okien, a nawet dachów przypatrywały się masy ludności téj ceremonii — natłok był ogromny. Liczne tłumy różnych wyznań, bogaci i ubodzy oddawali ostatnią posługę

Siostrze umarłéj, temu aniołowi opiekuńczemu sierot, nędzy i cierpienia. Ale też i kościół nasz, ta powszechna i czuła matka, nie odmówiła swéj zacnéj córce ni blasku ni współczucia. Świątynia pańska pokrytą była kirem żałoby, oświecona wspaniale różnokolorowemi transparentami; katafalk zdobiły girlandy kwiatów, ostawione krzewami drzew rozkwitłych. Śpiewy pobożne nie ustawały. Na drugi dzień po odbytem solennie nabożeństwie, przy towarzyszeniu muzyki, złożono ciało umarłéj do grobowca kościelnego w kaplicy Sgo Krzyża, aby tam w pokoju oczekiwało zmartwychwstania.

Zacna ta i anielska istota, mając zaledwie lat 32, przebiegła długą i ciernistą drogę poświęcenia i pracy około leczenia ran ciała i duszy swéj braci, i teraz zapewnie na łonie wieczności używa szczęścia, jakie Bóg dla sprawiedliwych w swéj miłości zgotował.

Pokój jéj duszy!

---

## Nowe zapałki chemiczne.

Pomimo rozmaitych zaprowadzonych ulepszeń, dotychczasowe zapałki chemiczne są jednakowoż dotąd powodem częstych wypadków, w skutek nadzwyczajnéj swej zapalności i własności trujących, zawartych w materyi służącéj do ich fabrykacyi.

Materyą tą, jak to powszecznie wiadomo, jest *fosfor biały*, jedna z najzjadliwszych a najtrudniejszych do pokonania trucizn, jak i jedna z najczynniejszych, a najtrudniejszych do ugaszenia sił zapalnych. Dziś wszelako odkryty i w użycie wprowadzony został sposób uniknięcia niebezpieczeństw tych, podstawiając w miejsce *fosforu białego* do fabrykacyi, *fosfor czerwony.*

Fosfor czerwony jest jedną z ostatnich zdobyczy chemii—odmiennie od białego, wolnym on jest od wszelkiéj własności trującéj i nie zapala się w powietrzu w zwykłéj temperaturze. Myśl użycia go do fabrykacyi zapałek, zaraz się za jego wynalezieniem nastręczyła, ale stanęła temu na przeszkodzie ta trudność, iż nie zdołano z razu wydobyć natychmiastowego płomienia z nowego fosforu, bez współdziałania solanu potażu, materyi łatwo wybuchającéj i bardzo niebezpiecznéj w użyciu. Trudność ta wszakże usuniętą została następnie przez chemika szwedzkiego Lundstroma, którego sposób z pewnemi zmianami zastosowany został przez panów Koanie (Coignet), fabrykantów wyrobów chemicznych w Lugdunie we Francyi. Według nowego systematu, koniec zapałki umaczany jest w roztworze chloranu, fosfor zaś przyklejony jest do oddzielnéj tabliczki metalowéj, zastępującéj dawniejsze flaszeczki z kwasem siarczanym. Zapałka zapala się w jednéj chwili za potarciem o przysposobioną tabliczkę; pocieranie wszakże, chociażby najsilniejsze o każdy inny przedmiot, pozostaje bez skutku.

Nowe więc zapałki nie przedstawiają żadnego z obu doświadczanych niebezpieczeństw dotychczasowych, gdyż nietylko materye do nich użyte, nie są bynajmniéj trujące, lecz nadto nie mogą zająć się ogniem przypadkowo — sprawiedliwie przeto dano im nazwę *zapałek hygienicznych i bezpieczeństwa.*

Bardzo byłoby pożądanem, iżby i nasi fabrykanci wyrobów chemicznych poszli za tym przykładem, i podobne *zapałki bezpieczeństwa* u nas upowszechnili.

---

## Przypowieści.

1. Łaska Boża, dobre zdrowie,
   Co lepszego, niech kto powie?
2. Łgarze, Pan Bóg karze, jeśli nie mrozem,
   tedy powrozem.
3. Szpetną twarz cnota przyozdobić może,
   Ale niecnocie gładkość nie pomoże.
4. Śmierci życzyć dla spadku,
   Na złe radzić dla datku,
   Krzywdzić drugich dla dostatku,
   Żadnemu do końca z pociechą nie przyjdzie.
5. Ogień do ognia przydaje, kto młodemu
   wino daje.
6. Co wino radzi pijają, a tłuste kąski jadają,
   Nie zbiorą tacy pieniędzy, owszem zawsze
   będą w nędzy.
7. Łatwiéj nieszczęście skromnie znosić,
   Niż się w szczęściu nie wynosić.

---

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować. Warszawa d. 23 września (5 paźdz.) 1857 r. — Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*